

glow
PRZEWODNIK

DOLNY ŚLĄSK



slow
PRZEWODNIK

DOLNY ŚLĄSK

Peter Zralek



Tekst: **Peter Zralek**

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **Justyna Tomas, zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety: **Agata Mościcka**

Opracowanie graficzne: **Luba Ristujczina Studio Litera –
www.studiolitera.pl**

Schematy: **Marcin Kot**

Projekt okładki: **Aleksandra Zimoch**

Ilustracje na okładce: **Dreamstime.com:** © Boguslavus

Copyright for text, cover and layout © Wydawnictwo SBM, 2022
Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-828-1

SPIS TREŚCI

Dolny Śląsk w rytmie słow	4
Wrocław. Flanowanie nad Odrą.....	6
Dobków. W Krainie Wygasłych Wulkanów.....	38
Sobótka. Błoto, Ślęza i Słowianie	64
Świdnica. Czarne wino, stosy i herezje	88
Bolków i Grodziec. Od zamku do zamku.....	108
Legnica. Co słyhać w Kwadracie?	132
Bolesławiec. Zwiedzanie bez buncłoków?	152
Głogów. Bez przewodnika.....	176
Lubiąż. Cystersi i Łęgi Odrzańskie	190
Trzebnica. O miłości w Trzebnicy.....	208
Środa Śląska. Złote miasto	228
Dolina Baryczy. W królestwie natury i karpia	244
Milicz. Hrabina i druh.....	268
Indeks.....	287



DOLNY ŚLĄSK W RYTMIE SŁOW

Z czym kojarzy się Dolny Śląsk? W znacznej mierze zależy to od tego, jak wyznaczy się jego granice. Jak wiadomo, granic województwa dolnośląskiego nie wytyczono, kierując się względami historycznymi. Ale nie to będzie tematem tej książki, lecz odpowiedź na pytanie, jak ciekawie spędzić tu czas.

Wiele osób może się zdziwić tym, że w regionie można zupełnie nieźle wypocząć, omijając słynne i zwykle zatłoczone karkonoskie ośrodki w Szklarskiej Porębie czy Karpaczu. Dolny Śląsk ma wiele spokojniejszych miejsc z fascynującą przeszłością, położonych w rejonach o rzadkim pięknie. Weźmy Dolinę Baryczy w jego północnej części. Tego rodzaju przyrodę, pełne dzikiego ptactwa zarośla i stawy trudno już znaleźć w naszej części świata. Barycz to nie tylko kajaki i dobra miejscowa ryba przyrządzona lokalnie, ale i wymarzony rejon do wędrówek rowerowych.

Naturę uzupełnia kultura. Dość często w kontekście Dolnego Śląska pojawia się informacja o setkach pałaców, dworów i rezydencji. Samych zamków jest tu blisko sto. To prawda, ale konieczna jest mała uwaga: wiele obiektów wymaga remontu, wielu z innych powodów nie da się zwiedzić albo się da, ale tylko fragmentarycznie. Przykładem są perypetie największego klasztoru w Europie, wspaniałej siedziby cystersów w Lubiążu, o którym piszę więcej. Niektóre majątki zostały zamienione w urokliwe hotele, jak pałac w Krobielowicach czy Krzyżowej. Ich okolice nadają się znakomicie na aktywny wypoczynek albo beztrudne zawiśnięcie w hamaku.

Żaden przewodnik nie obejmie wszystkiego, co opisywany przezeń rejon ma do zaoferowania. Trzeba pamiętać też o kuchni, lokalnych smakołykach i winnicach, które ostatnimi laty stały się prawdziwym przebojem Dolnego Śląska. Większość z nich prowadzi autentyczni

pasjonaci z solidną wiedzą. Degustacja na miejscu, często z widokiem na winne krzewy, będzie znakomitą uzupełnieniem pobytu czy przedłużonego weekendu. Amatorzy połączenia przyrody z historią zapewne wybiorą osnute mgłą tajemniczy szlaki na wzniesienie Ślęzy. Ci, którzy lubią jeszcze większe zagadki, pojedą do Środy Śląskiej, by przyjrzeć się znalezionym tam – często w bardzo osobliwych okolicznościach – złotym skarbowi. Nowsze dzieje poznamy podczas spaceru po Tarninowie, dzielnicy Legnicy, po wrocławskim Sępolnie oraz modernistycznej enklawie WuWa.

Ta książka nie została napisana wedle jakiegoś klucza, chyba że byłby nim dobrze spędzony w regionie czas. Nie wyczerpuje tematu, sygnalizuje tylko niektóre atrakcje i miejsca. Można je nanieść na mapę, ale ruszając w drogę, nie należy patrzeć na zegarek bądź w kalendarz. „Tajemnicą szczęścia jest umieć czasem przystanąć”, powiedział proboszcz Hawru, francuski pisarz Michel Quoist. Dlaczego nie zrobić tego na Dolnym Śląsku?



WROCŁAW

FLANOWANIE NAD ODRA

Flanowanie... O takim sposobie poznawania świata pisał Marek Bieńczyk. Postać nieśpiesznego spacerowicza pojawia się u niego często w kontekście melancholii. Pisał także Zbigniew Herbert: „Zeszyt i szkicownik idą do kieszeni i zaczyna się najprzyjemniejsza część programu – flanowanie, to znaczy: włóczenie się bez planu według perspektyw, a nie przewodników”.







Śladami krasnali
Tomasza Moczka

s. 9



Sępolno – śladami
Marka Hłaski

s. 17

WUWA
WuWa – enklawa
modernizmu

s. 21



Park Szczytnicki

s. 23



Hotel Grape

s. 24



Hala Stulecia

s. 25



Statkiem
po Odrze

s. 35



Puby pod nasypem
przy Bogusławskiego

s. 33



Światła miasta
– latarnie gazowe
na Ostrowie
Tumskim, Muzeum
Neonów

s. 30



Plażing nad Odrą

s. 37



Iglica

s. 29



Hakkoen – ogród
japoński

s. 26



Rowerem przez
Promenadę
Krzycką

s. 37



Piknik na Wzgórzu
Andersa

s. 35



Wrocław
Dworzec PKP

WROCŁAWSKIE KRASNALE

Wiele spośród nich oznacza i wskazuje na najciekawsze miejsca we Wrocławiu. Z tego powodu, by je tu tylko wymienić, należałoby przepisać in extenso jakiś przewodnik turystyczny. Co nie jest moim zamiarem. Gnomy panoszą się też w mniej znanych okolicach, do których nierzadko trzeba dojechać, najlepiej rowerem i bez pośpiechu. Miasto ma dużo wody i zieleni. „Wrocław sprzyja spacerom i rowerom”, mówi Tomasz Moczek – ojciec wrocławskich krasnali.

Jego atelier we wrocławskim Biskupinie to typowy warsztat artysty. Rzeczy prywatne, ubrania, książki leżą przemieszane ze sztuką: płótnami opartymi o ścianę i rzezbami małego formatu. Wśród kwiatów na parapecie okna piękna spiżowa praca. Głowa, którą najchętniej zobaczyłoby się w formacie mitorajskim w którymś z wrocławskich parków. Ale jest i odlew jednego z krasnali, słynnego Pracza Odrzańskiego, który w plenerze czeka z praniem przy moście Piaskowym. Pracownia ta ucieleśnia w jakimś stopniu teorię *cluttercore* o kreacyjnej sile i inspiracji rodzącej się z lekko zabałaganionego miejsca.

Pierwsze pytanie dotyczące krasnali zapisałem sobie na kartce. Brzmiało ono: „Czy nie męczą już pana te rozmowy o krasnalach? Proszę o odpowiedź jednym słowem: «tak» lub «nie»”. W chwili otwierania notesu w pokoju wybrzmiewa głośnie NIE.

Pytanie o wrocławskie krasnale miało być w założeniu (moim) prowokacyjne. No bo ile można? Po sieci krążą same zachwyty. Wszystkim się te kryjące po mieście skrzaty podobają. Ludzie je „znają i kochają” jak własne dzieci. Mało tego. Dzieci też te gnomy lubią. Ale właśnie tu jest zarzucona sieć, która dla każdego twórcy może się okazać zgubna. Rozpoznawalność w sztuce ma swoją cenę. Mógłby coś o tym powiedzieć np. Roman Opalka, pod koniec życia utożsamiany tylko z blednącymi cyframi, czy malująca gruszki (i tylko gruszki) szwedzka artystka, która została – przy trudnym do wymówienia nazwisku – „Panią od Gruszek”.

Tomasz Moczek jest absolwentem wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych. Uczelnię w dziedzinie rzeźby i malarstwa w pracowni Alojzego Gryta ukończył w 2003 roku. Pracuje też jako malarz, fotografik, grafik i pedagog, organizując warsztaty rysunku i inne zajęcia związane z działaniami plastycznymi. Na ścianie atelier wisi kilka ciekawych prac w oleju. Wróćmy jednak do... krasnali.



– Tworząc w 2005 roku pierwsze skrzaty z brązu, został pan ojcem wrocławskich krasnali. Co pan myśli, widząc w tej chwili już kilkanaście nazwisk innych osób, robiących takie rzeźby?

– To jest plagiat i często po prostu fuszerka. Wszystkim tym osobom wysłałem list, nie, nie pozew sądowy, ale kilka zdań, by zastanowiły się nad samym pomysłem, ideą takiego krasnala. Miał on być – w pierwszej wizji władz miasta – ciepłym symbolem Wrocławia.



– Dlaczego akurat krasnal?

– Wydaje mi się, że Wrocław, który w 1945 roku znalazł się w granicach Polski, miałby zawsze kłopot z wygenerowaniem jednego symbolu, znalezieniem wspólnego mianownika dla ludzi, którzy przez stulecia tworzyli to miasto. Bogactwo i urok Wrocławia pochodzą z wielokulturowości jego mieszkańców, wrocławian, którzy w nim wyrosli i wnieśli w rozwój tutejszej kultury i społeczności swoje talenty, ale i lęki, bardzo różne i przywiezione często z bardzo daleka. Większość powojennych mieszkańców to ludność napływowa. Niemców stąd wygnano, Żydzi zginęli. Władze powojennego Wrocławia zastanawiały się, jak w mieście tak obciążonym polityką i historią znaleźć jakiś symbol, emblemat, ikonę – coś, co nie tylko by wrocławian łączyło, ale i mówiło coś o samym mieście i regionie.

Moczkowe krasnale ze spiżu, które turysta spotka na mieście, zeszyły z deski rysunkowej artysty. Są jego autorskim pomysłem. Ale we Wrocławiu były też inne skrzaty, bardziej polityczne. Pierwszy z tych gnomów (czy pajaców) pojawił się w nocy z 30 na 31 sierpnia 1982 roku namalowany farbą na transformatorze półtora kilometra od miejsca, gdzie siedzimy, w Sępolnie. Następnego wykonał – tu w Biskupinie – słynny Major, czyli Waldemar Frydrych, szef Pomarańczowej Alternatywy. Mówiąc krótko, krasnale wyrażały ogólne niezadowolenie z tego, co wyczynia władza. Po prostu z PRL-u. Były kłopotem dla ówczesnego rządu. Co zrobić z malunkiem krasnala? Czy i na jakiej podstawie aresztować ludzi pojawiających się masowo na ulicy w przebraniu Świętych Mikołajów w akcjach organizowanych przez Pomarańczową Alternatywę?

– Pamiętam jednak, że to pan był głównym zwolennikiem apolityczności symbolu miasta. Bardzo mi się ten pomysł spodobał. Krasnal, nazwijmy go już wrocławskim, nie mógł nieść treści politycznych. W kontekście ostatnich lat ta myśl wydaje się wręcz wizjonerska.

– Tak. Miasto zastanawiało się długo, co mogłoby je lansować, reprezentować. Ślązański niedźwiedź odpadł, być może dlatego, że występuje już w roli symbolu za zachodnią granicą, jest przecież w herbie Berlina.

Może mógłby to być jakiś fragment architektoniczny typowy dla Wrocławia i rozpoznawalny. Ale nic nie przychodziło głowy... Krasnal był też jakoś „lżejszy”, śmieszny, podobał się dzieciom. Miał być wpleciony w pejzaż i ujawniać się późno, jakbyśmy go dopiero odkrywali w czasie spaceru czy zwiedzania Wrocławia. Chciałem też, by ten symbol nie był stały. Te różne krasnale rozsiane po mieście reprezentują w jakimś sensie różnorodność wrocławian, ich zmienność, ale i ducha przedsiębiorczości. Te idee są tu bardzo silne i nośne...

Tomasz Moczka mówi, że nigdy nie spotkał się na żadnym forum z niechęcią czy hejtem związanym z krasnalowym pomysłem. Głosy krytyki się jednak pojawiają. Niektórzy uważają, że symbolem miasta powinno być coś, co je wyróżnia na tle innych miast (a skrzaty czy krasnoludki są wszędzie) bądź coś, co się kojarzy z głównym zajęciem mieszkańców. W wypadku dużego ośrodka, jakim jest Wrocław, takie podsumowanie zamknięte w jakiejś jednej artystycznej formie/manifestacji nie jest raczej możliwe. By zapobiec oskarżeniu, że wrocławski krasnal to absurd, pojawiła się w mieście nie tak dawno temu legenda o Chochliku Odrzańskim. Miał on niepokoić mieszkańców do tego stopnia, że postanowili się go pozbyć. Z pomocą, choć nie wiadomo skąd, przyszły właśnie krasnale. I odtąd opiekują się wrocławianami.

Krasnale Moczka pojawiły się z wyraźnej inicjatywy i na życzenie miasta. Zielone światło pierwszemu projektowi dał ówczesny prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. Dziś rzeźby te są coraz częściej przedsięwzięciami prywatnymi. Salony fryzjerskie, restauracje, hotele, optyk zamawiają spiżowe skrzaty i umieszczają je w widocznych miejscach jako, właśnie, jako co? Na pewno reklamę, gwarancję jakości, związków z miastem?

– Ile kosztuje krasnal? – pytam Tomasza Moczka.

– Brąz nie jest szczególnie drogi. Ale roboty jest sporo, czasami od projektu, formy, próbnych odlewów do wybrania miejsca, w którym skrzat chciałby zamieszkać, mijają miesiące. Gotowy kosztuje dziewięć tysięcy.

Wrocławskie krasnale stały się atrakcją turystyczną. Biura podróży regularnie organizują spacer po mieście z poszukiwaniem skrzatów.

Punkty informacji dystrybuują mapy, gdzie gnomy znaleźć. Pod koniec 2021 roku było ich około 750.

– Jakiego krasnala pan by nie wykonał? Niech zgadnę. Zgłasza się do pana agencja towarzyska i ma 15 tysięcy złotych do wydania...

– Nie, no, takiego krasnala akurat bym zrobił (za tę cenę wyszłyby nawet dwa, ha, ha). Byłoby to w pewnym sensie wyzwanie, które lubi każdy artysta. Nie stawiam swoim pracom żadnych ograniczeń, również natury, nazwijmy to, etycznej. Żadna sztuka nie powinna tego robić. Żadna dobra sztuka, dodam. Inna rzecz, czy takie agencje działają legalnie.

Ciekawych, jak mogłaby taka rzeźba wyglądać, odsyłam na plac Kościuszki 14–15. Komiczna para cieszy wzrok przed witryną antykwariatu.

Nikt nie ma licencji na robienie figur zwanych krasnalami wrocławskimi. Nie jest to zastrzeżona marka. Nie jest wymagany kontakt np. z urzędem miejskim czy ze współpomysłodawcą Tomaszem Moczkiem. By takiego krasnala ustawić, należy zdobyć jednak zezwolenie właściciela terenu, a nim często okazuje się miasto.

– Czy będzie kiedyś krasnal w maseczce, czy może już jest?

– Będzie, a właściwie już jest, i to nie jeden, bowiem szpitale czy szkoły pielęgniarskie złożyły już takie zamówienia.



NA TROPIE KRASNALI

Nie bardzo uwierzyłem w zapewnienia autora, że krasnale się jeszcze wrocławianom nie znudziły. Bo że nie znudziły się przyjezdnym, to pewne.

Wydrukowałem z internetu ogólnie dostępną (i regularnie uaktualnianą) 29-stronicową listę Elżbiety Dudek, wypilem podwójne espresso i o 7.30 jesiennego poranka ruszyłem w miasto. Kilkaset metrów na



zachód od dworca kolejowego, przy **ul. Komandorskiej 21** jest duży supermarket. Tu przed wejściem cztery krasnale próbują pchać pełnowymiarowy wózek zakupowy.

– Nie wszyscy widzą te krasnoludki i szarpią się z wózkiem niczym się nieróżniącym od tych, które mamy wewnątrz – mówi, śmiejąc się, pracownica sklepu Lilianna Duszyńska.

– No i słusznie są wkurzeni... – próbuje.

– Nie, zupełnie nie, raczej rozbawieni. Nigdy nie słyszałam krytycznego komentarza.

Lokalizacja zdaje się kluczowa dla sukcesu. Tomasz Moczek sam stara się ją wybrać, bo krasnal musi zaskoczyć. Czasami trzeba dostosować postać do miejsca. Należy też wziąć pod uwagę bezpieczeństwo, zarówno ludzi, jak i spiżowych figur. Wiele z nich wypatrzymy na słupach, fasadach domów, poza zasięgiem rąk wandalii, głównie pijaków. Niekiedy wyrastają wprost z chodnika i łatwo w nie wyrznąć, gapiąc się na coś zupełnie innego. Na pewno skrzaty dają dużo uciechy dzieciom, które nareszcie w czasie spaceru mogą spotkać kogoś, kto jest nieco mniejszy od nich.

– To wizytówka miasta – przyznaje pan w kraciastych spodniach, oglądając skrzata opalającego się na parapecie przed hotelem przy **ul. Piotra Skargi 23–29**.

– Są śmieszne – mówi pani w kostiumie kąpielowym. – Może to takie przypomnienie, by nie brać życia zawsze tak na poważnie.

Jestem już w hali sportowej przy **ul. Teatralnej 10–12**. Po obu stronach wejścia na basen nr 1 w niszach kryją się aż cztery krasnale. Jeden z nich ma ręcznik, drugi płetwy, inny zawisł w powietrzu przed daniem nura do wody.

Rolą krasnoludków jest także zwracanie uwagi przechodniów na otoczenie. Miasto powinno im chyba za to płacić? Strażnik-Śpioch na chodniku przy **ul. św. Mikołaja 1** pilnuje średniowiecznej kamieniczki zwanej Jasiem. W pobliżu znajdują się tzw. **jatki**. Mur naprzeciwko domu **pod nr. 9** podpira jeden z najstarszych krasnali Moczka – Rzeźnik z roku 2005. Tradycja kramów rzeźniczych sięga tu połowy XIII wieku. Wyobrażam sobie te półmroki parujące świeżą krwią.

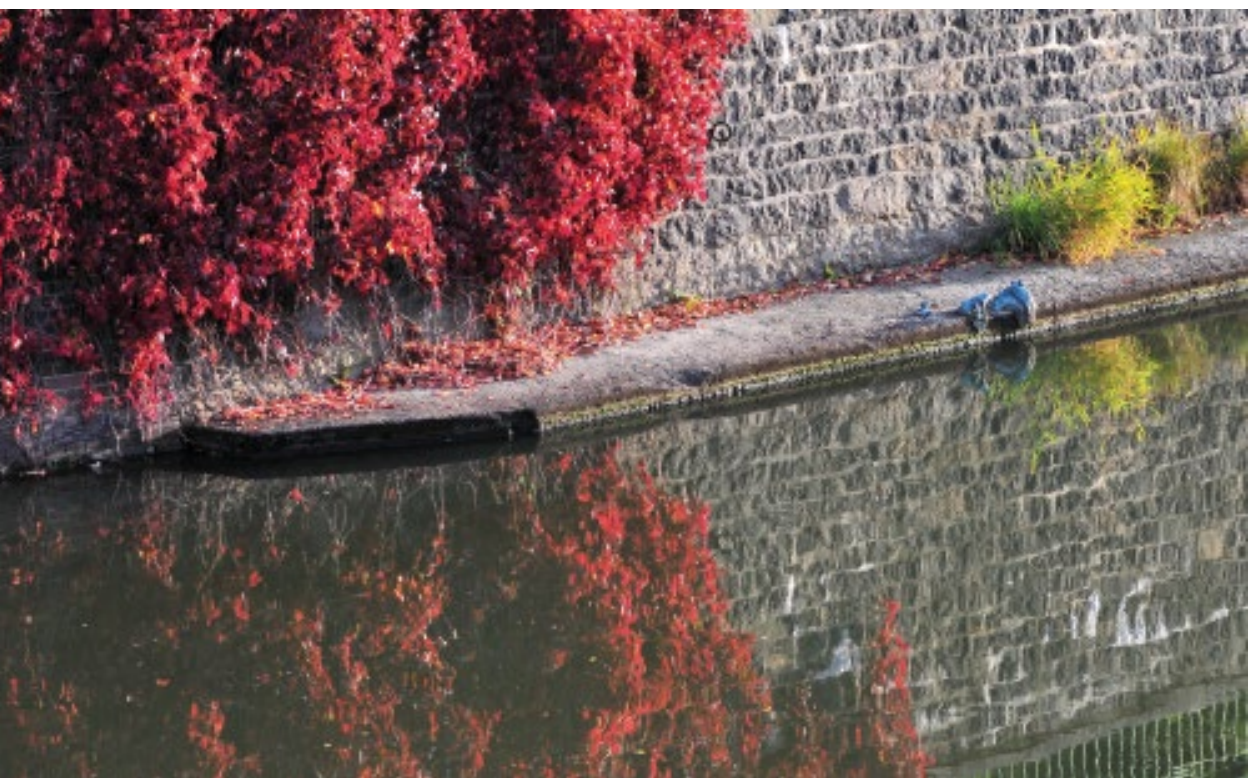
Dziś w szeregu niskich budynków działają nastrojowe galerie sztuki. W jednej z nich znajduje kopię Strażnika-Śpiocha.

– Czy to odlew z oryginału? – pytam.

– Nie powiem panu. To tajemnica – odpowiada pani w sklepie.

Tu widzę wyraźnie, czym różnią się krasnale Tomasza Moczka od innych. Archeolodzy będą mieli ułatwione zadanie. Moczek pozostawia twarz wykonanego przez siebie skrzata naszej interpretacji, nie narzuca rozwiązań. Rysy są często niewyraźne, surowe, wyraz tylko nieznacznie zaznaczony. Miny gnomów wykonanych przez innych to pełne, prawie jednoznacznie komiczne facjaty. Pod względem estetyki – jeśli tu o niej w ogóle można mówić – niewiele się różnią od kolegów okupujących przydomowe ogródki naszych zachodnich sąsiadów.

Wokół rynku znajdziemy wiele krasnali. Zostały tu najczęściej zatrudnione i powiązane są z konkretnym miejscem, bankiem czy zakładem gastronomicznym. Większość nie pochodzi z pracowni Tomasza Moczka. **Przy początku ul. Świdnickiej** swoją kulę toczą jednak niestrudzenie dwa



pierwsze i najstarsze (obok Rzeźnika) Moczkowe skrzaty. To Syzyfki, czyli Turlak (Przeszkadzacz) i Toczek. Jedne z lepszych prac tego rzeźbiarza. Wyekspozowanie nie zapewniło im bezpieczeństwa. Artyście też zresztą nie. Wrocławskie krasnale są regularnie niszczone i kradzione, przeważnie nocą i przez osoby nietrzeźwe. Kiedy Moczek usuwał ślady po kradzieży jednego z Syzyfków, mało co sam nie został aresztowany przez policję, przekonaną, że właśnie pochwyciła sprawcę.

W połowie Świdnickiej, przy przejściu podziemnym pod ul. Kazimierza Wielkiego, stoi Papa Krasnal. To pierwszy ze skrzatów. Spośród reszty wyróżnia się wielkością i wyglądem. Przechodnie „zgłaskali” dużą część figury. Wykonał ją Olaf Brzeski, uznany artysta, wystawiający wspólnie z Kozyrą i Sasnałem. Jest to jedyna jego praca tego rodzaju. Rzeźbę ustawiono w Dniu Dziecka w 2001 roku. Tu, na szerokim deptaku, odbywała się większość demonstracji Pomarańczowej Alternatywy. Śmiesznego pomysłu, który na poważnie zmienił kiedyś Polskę.

FLANOWANIE W BRESLAU

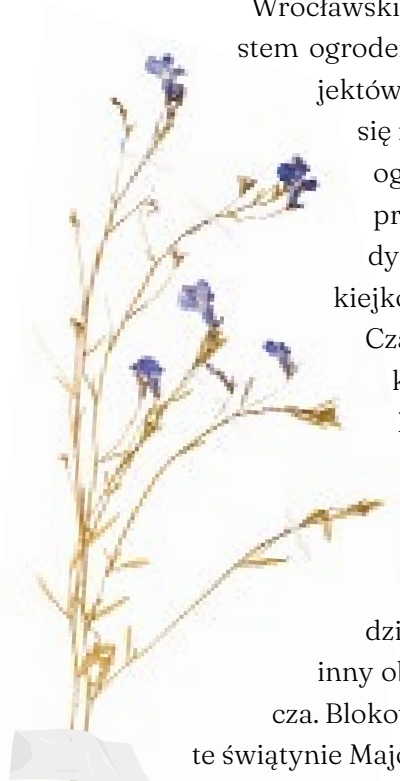
Dlaczego Breslau, a nie Wrocław? Pamiętam słowa poety Johanna Bechera, który dostał zaproszenie na propagandowy Światowy Kongres Intelktualistów we Wrocławiu w 1948 roku: „Do Breslau pojadę, ale nie do Wrocławia”. Tu nie będzie tego typu podtekstów. Chcę poflanować po dzielnicy miasta, którą wybudowano, gdy taką nazwę to miasto nosiło. I tyle.

Ale flaner chodzi bez planu, mapy, instrukcji i wskazówek. Więc tu raczej takim nie będę. Choć będę się starał.

Po opuszczeniu atelier Tomasza Mocza, twórcy wrocławskich krasnali, zmierzam z ul. Karola Olszewskiego na północ. Wiem, że za następną ulicą zaczyna się dzielnica Sępolno.

SĘPOLNO

Chcę je zobaczyć nie tylko dlatego, że miało być kiedyś miastem doskonałym, ale też z powodu Gustawa Adolfa i Marka Hłaski. Ewangelicy nazwali kościół imieniem szwedzkiego władcy, pisarz tu mieszkał w dzieciństwie.



Wrocławskie Sępolno miało być sto lat temu idealnym miastem ogrodem. Setki już ich człowiek nawymyślał, wiele projektów zrealizował. Przypuszczam, że znośnie mieszkało się na przykład dwa i pół tysiąca lat temu w wiszących ogrodach królowej Semiramidy w Babilonie (albo przynajmniej z widokiem na nie). Z reguły z dużym dystansem podchodzę do pojęcia doskonałości w jakiegokolwiek dziedzinie ludzkich wysiłków. Monstrualne Czandigarh w Indiach, idealne miasto Le Corbusiera, którego głównym projektantem był Polak Maciej Nowicki, oglądałem z przerażeniem.

Jak twierdzą psychologowie, pierwsze wrażenie trwa od pół do czterech i pół minuty. Pierwsze wrażenie z Sępolna to nieuporządkowana zieleń. I ten widok prześladowuje mnie do dziś. Jak czkawką bowiem odbija mi się i nakłada nań inny obraz: wjazd do bułgarskiej Sofii sprzed ćwierćwiecza. Blokowiska dzielnic północnych wyglądały jak zarośnięte świątynie Majów.

W Sępolnie nikt nie strzyże trawników, ale to nie znaczy, że do kościoła króla Gustawa mogę się przedrzeć przy użyciu maczety.

Sępolno wymyślił brytyjski urbanista Ebenezer Howard. Zbudowano je w okresie międzywojennym. Zamieszkiwała je klasa średnia: dentyści, adwokaci, dziennikarze, kilku inżynierów z rodzinami. Ta część miasta ucierpiała w walkach mniej niż pozostałe, ale w wypadku Wrocławia to niewiele znaczy. Breslau ogłoszono twierdzą, która po trzy miesięcznym oblężeniu skapitulowała, a w międzyczasie została zamieniona w dymiące zgliszcza. Na zdjęciach między domami, czy raczej ich spalonymi kawałkami, chadzają krowy i biega chudy drób.

Pomysł takiego miejsca nie był oczywiście nowy, nawet na ziemiach polskich. Z dzieciństwa pamiętam piękną willową Podkowę Leśną pod Warszawą. Ale Sępolno się jednak wyróżniało: w dużej części domów mieszkało po kilka rodzin. Budynki były nowoczesnie zaprojektowane, ale łazienki urządzono już po wojnie, po odbudowie.



SKWER POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH

Podobno najciekawiej stuhektarowa dzielnica wygląda z lotu ptaka. Jak orzeł. Piastowski, dodają patrioci. Ale to raczej czarny, dolnośląski. Ten ma, jak wiadomo, w środku krzyż, który na zdjęciu z drona zlałby się z ceglaną wieżą należącą do **luterńskiego kościoła Pamięci Króla Gustawa Adolfa**. Z bliska i dołu gmach wygląda bardziej na gminny urząd czy salę gimnastyczną. Nie widzę żadnych napisów informujących o Szwedzie. Gustaw II Adolf zapoczątkował wielkomocarstwowe sny Sztokholmu. Był Lwem z Północy, który miał uratować niemieckich protestantów w wojnie trzydziestoletniej. „Niemcy czekali na niego jak Żydzi na Mesjasza”, napisał dowódca Albrecht von Wallenstein. Nie zapomniano o nim w niemieckim Breslau przy wybieraniu nazwy kościoła w 1932 roku, w trzechsetlecie śmierci władcy.

Świątynia stoi pośrodku błoni, które stanowią centrum Sępolna. Nazwano je **skwerem Powstańców Warszawskich**. Osiedle przecinają dwie główne ulice biegnące w kierunku północ-południe po obu stronach olbrzymiego majdanu. Jak pióra skrzydeł husarskich odchodzą od nich mniejsze.

Przeciwną (zachodnią) stronę skweru okupuje wielka bryła dzisiejszej **Szkoły Podstawowej nr 45**. Spokojna elewacja jest świetnym przykładem modernizmu międzywojennego. Będąc w Świdnicy,



dowiedziałem się, że miasto przed wybuchem II wojny światowej miało wielu zwolenników faszystwu. Odwrotnie niż we Wrocławiu. Może właśnie dlatego jedyna ulica im. Adolfa Hitlera w Breslau leżała tu, na peryferyjnym przedmieściu. Pod koniec II wojny światowej w budynku istniał obóz pracy dla kobiet i dzieci zebranych po upadku powstania warszawskiego. Wyraźnie brakuje dzisiaj w Sępolnie infrastruktury, nie mówiąc już o kawiarniach (są jednak cukiernie). Pniom drzew przybywa słoików, stają się coraz grubsze, ich korony pogrążają dużą część zabudowy w półcieniu. Za sto lat – jeśli nie rozsypią się domy – będzie to „ogród miasto”. Jeśli się rozsypią, wrócimy do starożytnych Majów.

ŚLADAMI HŁASKI

Ulica Borelowskiego, gdzie mieszkał Marek Hłasko, jest nieco inna niż centralne części Sępolna. Wzdłuż tutejszych ulic stoją niewielkie domy szeregowy. Dochodzi się do nich trawnikami lub alejkami ogrodów. Po wojnie wprowadzili się do nich, jak na całym Dolnym Śląsku, przybysze spoza regionu, głównie ze Wschodu. Co ciekawe, w usuwaniu gruzów bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych pracowało we Wrocławiu jeszcze 150 tysięcy Niemców, którzy łudzili się, że w rodzinnym mieście – mimo przegranej wojny – będą jednak mogli zostać. Dwunastoletni Marek z matką (i jej przyjacielem) zamieszkali pod nr. 44. Chłopak chodził do pobliskiej szkoły podstawowej przy ul. Krajewskiego, którą ukończył w roku 1948. I na tym jego formalne wykształcenie w powojennej Polsce się skończyło, bo z kolejnych szkół go wyrzucano. By zobaczyć dom (z zewnątrz), trzeba nacisnąć guzik przy bramie. Roślinność zasłania dwie trzecie fasady i upamiętniającą tabliczkę, za którą zapłaciła cioteczna siostra pisarza Zyta Kwiecińska.

WUWA – ENKLAWA MODERNIZMU

Flaner idzie dalej. Kierunek na zachód. Do najciekawszych części parku Szczytnickiego najszybciej dotrzeć, idąc z centralnego Sępolna ul. Partyzantów, a później w prawo Edwarda Dembowskiego. Po minięciu boiska sportowego dochodzę do **Tramwajowej**, gdzie **pod nr. 2** działa punkt informacyjny (InfoWuWa) innego osiedla, które chcę

zobaczyć. Jest tu też niewielka kawiarnia z espresso, można napić się nawet kieliszek prosecco przed spacerem urbanistycznym. Miłe miejsce z jeszcze miłszą panią, która wręcza mapę ze wskazówkami, jak iść. Więc nie wyglądam na flanera. Ale co tam, po wyjściu zwalniam nieco kroku, by zachować jeszcze strzępy pozorów.

„Nie wiem, czy zna pan niewielkie eksperymentalne osiedle, które powstało w 1929 roku na wystawę Werkbundu WuWa w pobliżu Hali Stulecia” – pytała mnie listownie Alicja Wodzińska, kierownik Działu Dokumentacji Fotograficznej Muzeum Architektury we Wrocławiu, gdy wyjawilem plany włóczęgi. No, znałem, ale tylko z nazwy.

WuWa to niemiecki skrót od Wohnung und Werkraum Ausstellung, czyli wystawa mieszkania i miejsca pracy. To modelowe osiedle międzywojenne. Trzydzieści dwa budynki z mieszkaniami, które miały być funkcjonalne i tanie. Postawiono tu zarówno domy jedno-, jak i wielorodzinne o rozmaitych planach. Zostały rozrzucone po dużym terenie dzielnicy Dąbie, leżącej na południe od parku Szczytnickiego. Forma wynika z funkcji, jak mówił Louis Sullivan. Obiekty WuWa zachwycają przede wszystkim praktycznością i prostotą. Dobrej architekturze należą się oklaski, jak to można zobaczyć w filmie *Brzuch architekta* Petera Greenawaya. Tam zbiera je antyczny Panteon. Kilku obiektom WuWa przyklaskuję już na wstępie. Szkoda, że nie mogę mieć ze sobą kieliszka wina, jak bohaterzy filmu. Owacje należą się na przykład budynkowi **przedszkola**, znajdującego się bezpośrednio na tyłach domu z punktem informacyjnym. Zaprojektowali je Paul Heim i Albert Kempter. Drewniany obiekt spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach w 2006 roku. To, co oglądam, jest wierną odbudową z roku 2013 i mieści dziś siedzibę Izby Architektów. Śmieszne, że mimo nowej funkcji zachowano dwie piaskownice i płytki brodzik dla dzieci na dziedzińcu. By maluchy miały jednak gdzie pójść, obok postawiono duże przedszkole obwiedzione siatką.

Między projektami WuWa wyrosły już inne domy, pojawiła się też zieleń, dobudowano garaże. Do klockowatej architektury dostosowano latarnie, które nieco przypominają szubienice. Próbują na nie skakać z drzew wiewiórki. Drugi budynek na prawo od punktu

informacyjnego został zaprojektowany przez Adolfa Radinga. Do niedawna pełnił funkcję **akademika**, ukrywając się pod nazwą Pancer-nik. Mocno ucierpiał – od studentów? Ściany pokryte są graffiti, będzie remontowany. Najbardziej podoba mi się konstrukcja przy ul. Kopernika 9 (ul. Tramwajowa, a później Edwarda Dembowskiego). Zaprojektowany przez Hansa Scharouna jako **dom hotelowy dla osób samotnych i małżeństw bezdzietnych** jest i dziś hotelem. To budynek typu split levels, czyli „zazębiający się” (kondygnacjami), zwany też z niemiecka Kartelblattbauweise, czyli „budowla z kart”.

PARK SZCZYTNICKI I HOTEL GRAPE

Cały rejon dzisiejszego parku Szczytnickiego to dawna wieś Szczytniki. W granicach administracyjnych miasta znalazła się półtora wieku temu. Park powstał tu już wcześniej, zorganizowany na modłę angielską przez Fryderyka Ludwika Hohenlohego. Do wybuchu I wojny światowej w miejscu dzisiejszej Hali Stulecia ścigano się na koniach. Od strony zachodniej parku jest kilka pięknych budynków, a wśród nich tzw. Biała Willa bezpośrednio przy ul. Adama Mickiewicza.



Przy ul. Parkowej w XIX-wiecznej willi działa od kilku lat **hotel Grape**. To świetne miejsce na wypoczynek i baza do spacerów po okolicy. Elegancki budynek otoczony jest pięknym ogrodem, w którym można poleniuchować na leżaku. W chłodniejsze dni do tego celu znakomicie się nadaje oranżeria. Wieczne zmęczenie usunie z nas sauna albo butelka wina. Miejsce ma chyba najdłuższą kartę win we Wrocławiu. Trwa budowa basenu.

PAWILON CZTERECH KOPUŁ

Idąc Parkową na południe, przechodzę skośnie biegnącą ulicę Adama Mickiewicza, wchodzę w Wystawową i dochodzę do Pawilonu Czterech Kopuł. Budowla robi wrażenie przede wszystkim w środku, szczególnie oszkloną przestrzenią między skrzydłami wystawowymi. To orgia światła bez przeszkód penetrującego wnętrza. Pawilon wybudowano, by pomieścić historyczną wystawę zorganizowaną w stulecie bitwy pod Lipskiem – bitwy narodów stoczonej w październiku roku 1813, która zadecydowała o układzie sił w Europie. Największa porażka Napoleona wyniosła Prusy do roli mocarstwa, przyczyniając się do późniejszego zjednoczenia państwa niemieckich. Propagandowy charakter ekspozycji pawilon zachował po wojnie. W dniach Wystawy Ziem Odzyskanych w 1948 roku przedstawiciele młodych



władz PRL-u przekonywali zwiedzających do polskości ziem śląskich. Jedno z pomieszczeń nosiło nazwę Sala Jedności Śląska. Od kilku lat na sześciu tysiącach metrów kwadratowych prezentuje się najnowszą sztukę polską, od Witkacego po Kozyrę. To oddział Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Ściany nie są „przewieszone” obrazami, szynku miejscu nadaje nawet elokwentny szatniarz pod muchą. Nie będę opisywał kolekcji, nie każdy interesuje się sztuką. Oglądania jest tu na całe dnie. Ale nawet jeden obraz może usprawiedliwić wizytę, choćby *Liście na czerwonym tle* Artura Nachta-Samborskiego z 1958 roku.

W jednej z sal wisi olej Wojciecha Fangora z portretem Einsteina w swetrze. Płótno powstało w roku 1948 i przypomina zorganizowany wtedy w mieście Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, imprezę równie propagandową co wystawa Ziem Odzyskanych. Wydano niej wiele publikacji, warto może jednak wspomnieć, że zaproszony na spotkanie Albert Einstein nie przyjechał (wysłał list), ale zrobiło to wielu uznanych ludzi kultury, jak Pablo Picasso (sprowadzony przez władze polskie prywatnie wynajętym samolotem), Paul Éluard, Salvatore Quasimodo, Graham Greene i inni. Obrady prowadził Aleksandr Fadiejew, delegat sowiecki, i zawsze się zastanawiam, jak można było liczyć na jakakolwiek współpracę, gdy atakowało się zaproszonych gości taką połajanką, jaką wypuł z siebie wtedy Rosjanin: „Kajdany amerykańskich imperialistów mają zamienić świat w komisariat policyjny (...). Gdyby szakale mogły nauczyć się pisać na maszynie, gdyby hieny umiały władać piórem, to, co by tworzyły, przypominałoby z pewnością książki Millerów, Eliotów, Malraux i innych Satre’ów”.

HALA STULECIA

Stojąca obok Hala Stulecia wpisuje się w podobną narrację. Wraz z Pawilonem Czterech Kopuł tworzyła w 1913 roku potężne narzędzie autopromocji. Same rekordy. 14 miesięcy budowy. Prace zakończone sześć tygodni przed terminem. Wylane 13 tysięcy metrów sześciennych betonu. No, Niemcy byli też niezłymi propagandystami, i to na długo przed Goebbelsem. A propos tego betonu, nieco się już sypie. Robię zdjęcie

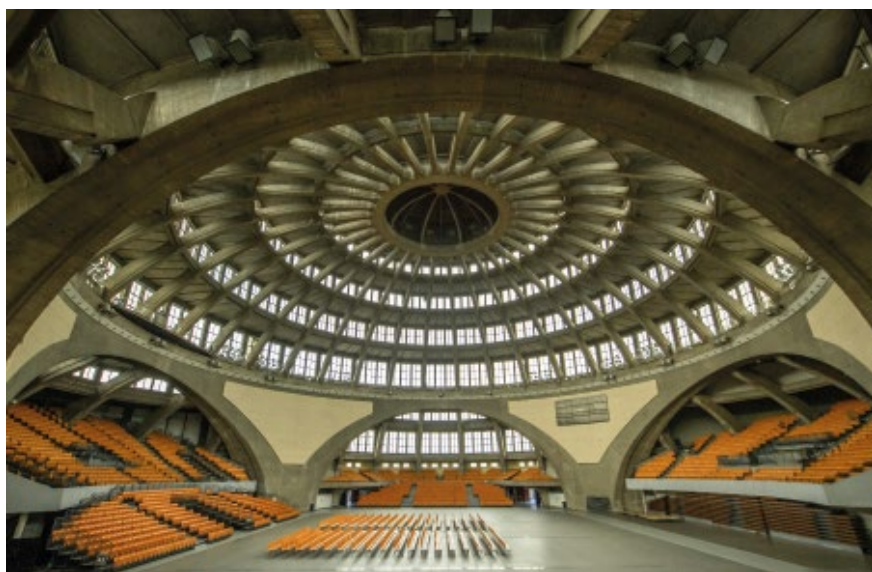
komórką, na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał mnie podać do sądu za to spostrzeżenie. W środku imponuje przede wszystkim kopuła. Jest większa od rzymskiego Panteonu o 21,5 metra (chodzi o rozpiętość), ale lżejsza o 42%. Wystarczy tych danych? Jeszcze tylko koszt: 1,9 miliona marek. Ile to jest? Wedle informacji w sali historycznej to na dzisiejsze 8,5 miliona euro. Architekt Max Berg mówił, że jego budynek jest katedrą demokracji. Zostałby zapewne symbolem pięknego polskiego Wrocławia, gdyby nie zbudowali go... Niemcy.

HAKKOEN

Na północ od Hali Stulecia znajduje się wejście do **Ogrodu Japońskiego**.

Jeśli ktoś pisze o „kuchni włoskiej”, to raczej pewnie, że o niej wie niezbyt wiele. Jeśli natykamy się na pojęcie „typowego japońskiego stylu”, należy tę publikację odłożyć.

Ogród, o którym mowa, to pozostałość po Wystawie Światowej z 1913 roku. Motorem przedsięwzięcia był hrabia Fritz von Hochberg, jeden z wielu europejskich wielbicieli – jak później m.in. Andrzej Wajda – wszystkiego, co japońskie. Sam ogród stworzył mistrz ogrodnik Mankichi Arai. Nie trzeba jechać do Japonii, żeby zrozumieć, że tego rodzaju miejsce to sprawa poważna. Tu nie chodzi o to, by chryzantemy miały dużo światła. W ogrodach japońskich nad położeniem



jednego kamienia dyskutuje się latami, niekoniecznie dochodząc do konkluzji. Kierunek grabienia żwiru może decydować o złym zrozumieniu intencji, samej idei takiego miejsca, które jest wielką medytacją nad życiem. Nieco więc śmieszą informacje w przewodnikach o stworzeniu tu „jeszcze wspanialszego miejsca do wypoczynku”. W japońskich ogrodach się nie wypoczywa. Większość z nich buduje się w oparciu o filozofię buddyzmu zen, a konia z rzędem temu, kto ją jako tako zdefiniuje. Układ drzew, krzewów, kamieni i wody jest tylko jedną z prób uchwycenia bytu.

Gdy chodzę po alejkach parku, przypomina mi się wypowiedź jednego z mistrzów: Ktoś zapytał: „Co jest podstawowym pytaniem?”. Mistrz Yün-men powiedział: „Brak pytania, brak odpowiedzi” (*Brama chmur. Nauczanie mistrza zen Yün-Men*, tłum. Bon Gak, Miska Ryżu 2016).

Ogrody zwie się czasami trójwymiarowym ujęciem tego spojrzenia na świat. Niektóre koncentrują się na kruchości egzystencji przez zasadzenie tych, a nie innych roślin, na podkreślaniu nieuchronności upływu czasu, nierzadko symbolizowanym przez głaz czy nawet obecność żółwia w stawie itd.

Wrocławski ogród jest kompozycją kilku typów japońskich ogrodów, m.in. wodnego i roślinności tworzonej przy herbaciarni. Rząd Japonii przekazał kilka granitowych latarni z XIX wieku. Woda wpływa tu do stawu dwoma ciągami. Szybciej „kaskadą męską” (*Oto-ko-da-ki*) i dwustopniowym ujęciem o powolniejszym nurcie, czyli „kaskadą żeńską” (*Onna-da-ki*). Nietrudno uchwycić tu znaczenie. Potęguje je obecność piwonii (*botan* po japońsku), symbolu pomyślności i lotosu (*hasu*), kwiatu Buddy, przypominającego o nauce Mistrza oraz „żywych kwiatów”, czyli karpia koi. To różnokolorowe ryby dożywające stu lat. Należą do najdroższych na świecie. Koi sprzedany na wystawie w 2017 roku kosztował prawie dwa miliony dolarów. Nic dziwnego, że przed wejściem jest napis, by ich nie łowić. Rośnie tu grubo ponad sto gatunków roślin, wiele sprowadzonych z Japonii jak styrak, pieris czy kosaciec. Chyba warto więc wziąć ze sobą gruby atlas roślin. Japończycy nazwali wrocławski ogród *Hakkoen*, czyli ogród biało-czerwony.

